

ALFRED ARDEN.

Zemsta bogini Kali.

Prawo przedruku i przekładu zastrzeżone.

12

— Doprawdy?... — ironicznie zaśmiał się Van Gelle.
 — Nie wiem, czy będziesz śmiać się także jutro Sahibie?... — powiedział spokojnie Rama i odszedł wolnym a dostojnym krokiem.
 — A teraz ja wam zrobię niespodziankę! — powiedział po jego odejściu profesor. — Patrzcie, oto fotografie Ramy!
 W istocie leżały przed nami malutkie, lecz niezwykle ostre fotografie naszego Hindusa.
 — W jaki sposób dokonał pan cudu — zapytała Blanka — i zdołał skłonić Ramę do pozowania przed aparatem...
 Trzeba wiedzieć bowiem, że nasz brązowy przewodnik za żadną cenę nie pozwolił się nigdy nikomu z nas uwiecznić na fotograficznej płycie. Tłómaczył się przepisami swej kasty i za największą obrazę uważał, gdy ktoś przy nim wyciągnął aparat. Doszło raz między nami na tem tle do poważnego zatargu, który załagodził dopiero Van Gelle.
 — Cyt! — powiedział profesor, — Ramie nie wolno nic wiedzieć o tych fotografiach. Zrobiliśmy je bez jego wiedzy i w chwili, gdy nie prze-czuwał nawet, że w jego sąsiedztwie znajduje się „niebezpieczny“ aparat...
 Nic więcej nie chciał nam o tem powiedzieć Van Gelle. W odpowiedzi na wszystkie pytania uśmiechał się tajemniczo i z zadowoleniem skubał swoją ryżą bródkę... Mniejsza zresztą o to!...
 Zaciekawia mnie narazie jedno: jak się wywiąże jutro Rama z swojej obietnicy.

24 stycznia.

Dziwnie drży mi ręka, gdy chwytam za pióro, by skreślić to wszystko, co zaszło dnia dzisiejszego. Chwilami zdaje mi się, że śnię poprostu jakiś sen niesamowity, drażniący, ponury. Szczypię siebie i ciągnę za włosy, by się upewnić, że reaguję na ból, że żyję rzeczywistym życiem i że daleki jestem od sennych majaczeń... A jednak nie dziwiłbym się, gdyby ktoś po wysłuchaniu mojej opowieści uznał mnie za człowieka o niezdrowych zmysłach lub odrzucił jako manjaka-blagiera. Sam zresztą wątpiłbym o zdrowiu swych władz umysłowych, gdyby nie to, że przecież współ-uczestnikami mych przeżyć byli Van Gelle'a, Blanka, Antonjo i Silvas. A może zresztą my wszyscy jesteśmy szaleni?!...

Za ścianą mego pokoju słyszę kroki... Szybko, nerwowo, rytmicznie brzmią ich uderzenia. Niestrudzenie krążą one wzdłuż długości ściany. Z uporem przemierzają tę niewielką przestrzeń, setki, setki razy... Tam i z powrotem i znowu i znowu... Słyszę je od kilku godzin. Wpadają mi w ucho, zlewają się w jeden przyspieszony rytm z załęką mego serca... Zdaje mi się jakby w niem ktoś chodził tak samo szybko, tak samo nerwowo...

Dlaczegoż nie położy się spać wreszcie Van Gelle? Jest już druga godzina, a o trzeciej rozkwitają tutaj ranne zorze... A i tam naprzeciw w oknie Blanki jarzy się jeszcze mdły płomyk naftowej lampy...

Nie śpią oni podobnie jak ja nie śpię... Ta sama myśl, ten sam niepokój nie daje im zamknąć powieki... Przeżywają nieustannie w duszy ten dziwny spłot dzisiejszych wydarzeń podobnie jak ja go przeżywam.

Oto widzę jeszcze, jak siedzimy, naszym zwyczajem przy kawie na tarasie hotelowego podwórza. Rozłożysty japoński parasol dobroczynnym cieniem otula nam głowy. Orzeźwiająca wilgocia szemrze niecierpliwa fontanna. Mimo gorąca jest miło. Czytam właśnie gazetę, pogrążony w rozkosznym zleniwieniu ciała. Antonjo i Silvas grają w szachy. Kłócą się wśród posunięć a w przerwach ciągną z długich słomek mroźną soda-whisky. Blanka rozprawia o czemś z Van Gelle. Wygląda ślicznie w korkowym obciągniętym białym płótnem, hełmie, z pod którego wymykają się jej czarne włosy. Za to Van Gelle w tym przybraniu głowy wygląda jeszcze śmieszniej niż zwykle... Ale bo też sprawił sobie hełm iście potwornych rozmiarów... Zaiste za grosz nie ma nasz uczony poczucia estetyki i smaku... Tak myślę...

Całkiem z boku, pogrążony w trzcinowym fotelu siedzi nasz przewodnik — Hindus... Patrzę od czasu do czasu ukradkiem na niego... Widzę, że zmarszczył czoło, o czemś intensywnie myśli, fiksuje nas swemi czarnemi, ale w tej chwili jakby nieobecni oczyma. Gdzieś daleko jest pewnie ze swemi myślami... Nie czuje nawet, że na niego patrzę... Cóż za dziwna siła magnetyczna czai się w jego spojrzeniu... Trudno jest oderwać oczy od niego...

Zdaje mi się, że się zdrzemnąłem na chwilę. Zbudził mnie dopiero głos Ramy, który zaproponował wycieczkę na przedmieście Benares...

— Przy sposobności — zapewnił — pokażę wam „cud“, o którym wczoraj mówiłem.

Dlaczego nie?!... Nie po to odwiedziliśmy Benares, by drzeć tu w trzcinowych fotelach... Trzeba przemódz lenistwo. Idziemy...

Wężowemi skręty wiją się ciasne uliczki... Coraz to bardziej cuchnące im bardziej oddalamy się od środka miasta. Nieustannie obskakuje nas półnagi tłum dzieci żebrzących o jakiś datek, czepia się naszych ubrań, gestykuluje, wrzeszczy różnojęzycznym szwargotem... Ale jedno skinienie Ramy wystarcza, by znikł on, jakby wczarowany w ziemię.

Znajdujemy się wreszcie na jakimś rozległym placu. Spostrzegamy zbity pierścień ludzi, stłoczonych wokół wonnego ogniska, buchającego ognistemi językami ognia i kłębami dymu wysoko ponad głowy tłumu. Słyszymy, jak coś mówi Rama w niezrozumiałym dla nas języku. Natychmiast pierścień rozsłuchuje się kornie na nasze przyjęcie i znajdujemy się w pierwszych szeregach patrzących. Dopiero teraz widzimy, jak w metalowym połysku ogniska uwija się półnagi fakir, szepcząc jakieś tajemne zaklęcia i w dzikim tańcu rąk śląc jakieś błagania ku niebu. Trwa to dłuższą chwilę... Tymczasem oczy nasze kierują się w stronę młodego, zupełnie nagiego chłopięcia o dużych, ciemnych i smutnych oczach gazeli, który opodal fakira siedzi na wielkim zwoju grubej okrętowej liny...

Fakir skończył... Trwa teraz w niemym odrętwieniu patrząc neruchomo gorejącą oczyma przed siebie... Z ust mu się wyrывa nagle jakiś krótki rozkaz. W lot chwytą go ów młody chłopak i zeskoczywszy ze swego

siedliska wlecze ku swemu mistrzowi koniec okrętowej liny. I teraz przychodzi na nas moment osłupienia. Z zapiętym oddechem, drżąc ze wzruszenia widzimy jak fakir wyrzuca koniec liny wysoko w powietrze, a ona nie spada siłą swojego ciężaru, lecz drży, wiję się w niesamowitych podskokach w powietrzu, przeży wężowemi skręty i podnosi się wolno, wolno w górę. Mamy wrażenie wprost, że lina opiera się, walczy bezskutecznie, cierpi, że tam gdzieś „w niej“ odbywa się tajemnicza i niesamowita walka między przyrodzoną siłą ciężkości, a jakąś inną nam nieznaną siłą. Wreszcie lina rezygnuje z bezskutecznej walki, jakby targnięta jakąś niewidzialną ręką unosi się błyskawicznie w górę aż jej koniec ginie gdzieś w przestworzach i trwa wyprężona, sztywna jak cięciwa łuku. I już młody uczeń fakira doskakuje do niej i wspina się po sznurze błyskawicznie w górę. Robi to tak szybko, że wprost maleje nam w oczach, aż wreszcie trwa tylko jako mały punkcik, zawieszony między niebem a ziemią.

W tej chwili czuję, jak wokół mej ręki oplata się kurczowo dłoń Blanki. Widzę jak drżą jej nerwowo powieki... Ja sam, choć słyszałem oddawna o tym klasycznym popisie fakirów poczułem się dziwnie nieswojo... Ale nie było czasu do refleksji... Oto fakir ogromnym, jak brzytwa wyostrzonym nożem przecina z rozmachem linę. Jeszcze teraz widzę, jak wyprężony sznur pryska nagle i zwinawszy się niby ukąszona żmija, znika nam wraz z chłopcem w powietrznym przestworzu. Słyszymy tylko rozpaczliwy krzyk gdzieś wysoko nad nami, który kona zwolna wibrując nam długo w uszach.

Stoimy odrętwiali, przerażeni, z wyrazem głębokiej troski na twarzach. Patrzę na Blankę: jest bardzo błada.

— Halucynacja wzrokowa, zbiorowa sugestia, pewnego rodzaju hipnotyzm, któremu nie zdołaliśmy nie uleść — szepce mi w tej chwili Van Gelle uspakającym tonem do ucha.

Zapewne... Wiedziałem, że w ten sposób te rzadkie „cudotwórstwa“ fakirów tłómaczy nauka... Poczułem jednak coś w rodzaju wstydu, że nie potrafiliśmy się przed sugestją obronić.

— Mylicie się państwo — rzekł w tej chwili Rama, jakby czytając w myślach profesora i nagłym ruchem zerwał kolorową chustę, którą fakir zarzucił na swój liny...

Zdrętwieliśmy... Pod chustą leżał młody Hindus, który przed chwilą wspinał się na linę, pogrążony w głębokim uśpieniu.

W tej chwili Rama do ręki nam wcisnął koniec liny i wielki nóż, który odebrał z rąk fakira.

— Pan profesor myśli, — zwrócił się do Van Gelle'a z jakimś nie miłym uśmieszkiem na twarzy — że uległ halucynacji wzrokowej... Tak nie jest... Przysięgam, że pokażę coś, czego nie może wyjaśnić wasza nauka i oto dotrzymałem słowa. Proszę dokładnie obejrzeć nóż i linę. Oto tu na końcu noża widać mikroskopijne drobiny nici, z których spleciona jest lina: realny dowód, że nóż był naprawdę „w robocie“. A tu oto na sznurze widać najdokładniej, że został on naukos przecięty ostrym narzędziem. Jak pan wytłómaczy te fakty?...

...Panie Silvas niech pan również przypatrz się dobrze. Niech pan próbuje powtórzyć tę sztukę... — ciągnął dalej z ironicznym zgrzytem w głosie.

— Ale gdzież podział się fakir?! — przerwał mu nagle wystraszony głos Blanki.

Podnieśliśmy jakby na komendę oczy... I niech mnie ktoś posadzi o obłą, a jednak zaręczam, że w tej chwili pusty plac tylko rozpościerał się przed naszymi oczyma. Ani fakira, ani chłopca, ani ogniska nie było przed nami. Również cała otaczająca nas gawiedź znikła nagle, jakby zapadła się w ziemię...

Tak! byliśmy sami na pustym placu, szczerzącym się wybojami i świecącym plastrami wyschniętego błota.

— Usiądźcie państwo! — dał się słyszeć znowu głos Ramy...

Obejrzelśmy się w istocie za siebie, choć resztki świadomości mówiły nam, że przecież tu, na tym pustym placu nie może być krzeseł. I nie wiem jak inni, ale nie zdołałem się już nawet zdziwić, gdy spostrzegłem, że za mną stoi mój trzcinowy fotel, który opuściłem wychodząc z hotelu. Powtarzam: nie zdołałem się już nawet zdziwić. Byłem pogrążony w tępej zobojętności na wszystko, miałem wrażenie, że przeżywam jakiś sen nieprawdopodobny na jawie, że chodzę jak lunatyk po świecie, w którym wszystko idzie zdrowym zmysłem na opak.

I nie zdziwiło mnie, że oto siedzimy wszyscy na naszym hotelowym podwórzu, że wokół nas rozpościera się kolumnada budynków, wysadzana rozłożystymi palmami, że nasze głowy osłania znów cieniem dobroczynny japoński parasol, że obok nas szemrze spadającymi kroplami fontanna.

— Do zobaczenia jutro — wyrwał mnie nagle z letargu głos Ramy...

— Ale co pan sądzi o tem wszystkiem panie profesorze? — odchodząc zwrócił się on jeszcze do Van Gelle'a.

— To panu powiem jutro i sądzę, że dam zadawalającą odpowiedź. Myślę, że nie będzie miał pan powodu uważać się na europejską naukę — rzekł Van Gelle drwiącym i lekceważącym tonem, który mnie dziwnie pokrzepił na duchu.

— Obawiam się, że tej odpowiedzi nie posłyszę — odparł Rama, schylając się w głębokim ukłonie...

Kiedy biel szat Hindusa rozplynęła się w czarnej gardzeli hotelowej bramy czy nas wszystkich zawisły na twarzy Holendra pełnym niepokoju pytaniem.

— Myli się Rama sądząc, że mu nie dam jutro wytłómaczenia tych zdarzeń, których dziś padliśmy ofiarą — wycedził zwolna, ruszając swą kozią bródką, co oznaczało u niego szczyt zadowolenia. Z za okularów błyskał rozradowanymi oczyma. Obejrzał się uważnie wkoło, czy nie pod słuchuje nas niepowołane ucho, poczem nachyliwszy się ku nam zaczął szepem mówić:

— Oh! Byłem już przygotowany zdawna, że czekają nas tu w Indjach niespodzianki, wobec których możemy stanąć bezradni z naszą trzeźwością sądu i przenikliwością w ocenianiu zjawisk. Byłem przygotowany na sceny, których byliśmy dzisiaj świadkami. Oddawna też powiedziałem sobie, że wchodzę w krainę, gdzie własnym zmysłem nie można zaufać. Czemuż w końcu zaufać, na kogo się spuścić? Na martwy, nie podlegający sugestjom aparat? Któż będzie, pomyślałem sobie, wiarygodniejszym świadkiem niż płyta fotograficzna, lub ściślej mówiąc wstęga filmowa, niezależna od halucynacji wzrokowych? Dlatego kazałem sobie skonstruować miniaturowy aparat kinematograficzny, który się mieści w moim kasku korkowym...

(Ciąg dalszy nastąpi).